

Nazywają go potworem.  
Zimne jak lód bładoniebieskie oczy przeświełtają cię na wy-  
lot.

Jest bezwzględnym.

Jest okaleczony.

Jest niebezpiecznym.

Żyje w zamku godnym baśni, ale nie jest księciem.

Jest bestią.

Jest brutalem.

Jest zabójcą.

Przeznaczenie sprawi, że nasze światy zderzą się ze sobą.

Nazywają go potworem, ale jest moim ocaleniem.

Tytuł oryginału  
*Savage. The Awakening of Lizzie Danton*  
Copyright © 2017 by L.A. Fiore  
All rights reserved  
Copyright © for Polish edition  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Oświęcim 2018  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:  
Anna Wasińska  
Korekta:  
Dariusz Marszałek  
Redakcja techniczna:  
Mateusz Bartel  
Przygotowanie okładki:  
Paulina Klimek

Ta książka jest fikcją literacką. Imiona, osoby, organizacje, miejsca i wydarzenia stanowią wytwór wyobraźni autorki lub zostały użyte jako elementy fikcyjne.

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Dystrybucja: ATENEUM [www.ateneum.net.pl](http://www.ateneum.net.pl)

Numer ISBN: 978-83-7889-804-7

L.A. FIORE

# BESTIA

PRZEBUDZENIE LIZZIE DANTON

TŁUMACZENIE

PAWEŁ GRYSZTAR

OŚWIĘCIM 2018

# *Dedykacja*

Dla Melissy Stevens, która dzięki swoim rysunkom sprawia,  
że moje historie ożywają. Masz swoją wewnętrzną magię.

# LISTA UTWORÓW MUZYCZNYCH



*If I Ever Leave This World Alive* – Flogging Molly

*Carry On Wayward Son* – Kansas

*MmmBop* – Hanson

*Let Her Go* – Passenger

*Just Give Me A Reason* – P!nk

*Chasing Cars* – Snow Patrol

*Blackbird* – Doves

*Maybe* – Ingrid Michaelson

*More Than Us* – Travis

*The Story* – Brandi Carlile

*Breakeven* – The Script

*Run* – Snow Patrol

*Jeremy* – Pearl Jam

*Second Chance* – 38 Special

*Jar of Hearts* – Christina Perri

*My Heart Is Broken* – Evanescence

*Light Outside* – Wakey!Wakey!

*What About Us* – P!nk

*Black Hole Sun* – Nouela

*Short Change Hero* – The Heavy

*Uninvited* – Alanis Morissette

*After All* – Cher (z: Peter Cetera)

# UWAGI AUTORKI



Brochan (Bro-gan)

Fenella (Fen-nella)

John Walker – najwyższej jakości whisky marki Johnnie Walker.

Laird – osoba posiadająca wielki majątek ziemski w Szkocji.

Cranachan – rodzaj szkockiego deseru.

*Mo leannan* – w Szkocji pieszczotliwie: „Moje kochanie”.

*Gdy jesteśmy dziećmi, uczą nas odróżniać dobro od zła, właściwe postępowanie od niewłaściwego, lecz czasami nie jest to tak wyraziście czarno-białe. To sposób, w jaki radzimy sobie w niewyraźnej przestrzeni pomiędzy tymi skrajnościami, określa ją... albo jego.*

*Lizzie Danton*

# PROLOG



KSIĘŻYC W PEŁNI ROZŚWIETLAŁ CIEMNOGRANATOWE NIEBO, A STRZĘPY chmur przesuwają się na tle jego bladego oblicza. Tych kilka razy, kiedy obserwował zamek, okalający go las rozbrzmiewał symfonią odgłosów – wilków, sów, świerszczy. Tej nocy wszystko brzmiało tak, jakby wędrujące w ciemności stworzenia wiedziały, że na łowy wyruszył znacznie bardziej niebezpieczny drapieżnik. Znał drzwi, które nigdy nie były zamknięte. Wślizgnął się przez nie do środka. Bezszelstnie wszedł po schodach i pokonał hol. Dłonie pocily mu się zarówno ze strachu, jak i z podniecenia, gdy jednym pchnięciem otworzył drzwi, podniósł broń i nacisnął spust, zasypując łóżko gradem kul. Kiedy wcisnął włącznik światła, zmarszczył brwi, zaskoczony, gdyż odkrył, że pomieszczenie jest puste. Na nocnym stoliku leżał tylko niewielki, zaadresowany do niego kawałek papieru. Po raz pierwszy po plecach przeszły mu ciarki. Drżącymi dłońmi rozwinął wiadomość. Ciemnoczerwonym atramentem zapisano w niej tylko jedno słowo.

## *Uciekaj*

Gardło ścisnęły mu szpony paniki, a cała finezja, z jaką dostał się tu ledwie kilka chwil wcześniej, rozwiała się niczym mgła. Poczul wszechogarniające przerażenie. Zrobił tak, jak było napisane, i zaczął biec. Kiedy dotarł do klatki schodowej, włosy zjeżyły mu się na karku. Nie był sam. Ciemność przybrała kształt, patrząc na niego lodowato zimnymi oczami. Ostatnim, co usłyszał, był jego własny paniczny krzyk wzywający pomocy.



*...narodziny  
potwora...*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY



Highlands, Szkocja, rok 1982

– NIE PODOBA MI SIĘ TO, ABIGAIL. NAPRAWDĘ MI SIĘ NIE PODOBA.

– Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

– Lekarze mówią, że ciąża jest dla ciebie ryzykowna. Po co miałabyś to robić?

– Chcę nosić twoje dziecko.

– Ale już o tym rozmawialiśmy. Twoje życie jest ważniejsze. Rozważaliśmy adopcję.

– To nie to samo.

– A więc mnie oszukałaś. Zaszłaś w ciążę, znając ryzyko! – ryknął.

– Wiedziałam, że nigdy byś się nie zgodził, a ja tego chcę, nawet mając świadomość ryzyka. Proszę, nie bądź zły. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

– Oszukałaś mnie.

– Przepraszam.

– Nie mogę teraz na ciebie patrzeć.

Jego gniew brał się ze strachu. Nie mógł jej stracić, ale *był* zły, tak cholernie wściekły. Nie powinien opuszczać domu. Trzeba było poszukać ukojenia w butelce whisky. Bieg wydarzeń, wprawiony przezeń w ruch tamtej nocy, miał zniszczyć ich wszystkich.



– Nareszcie. – Wyciągnęła ku niemu dłoni.

– Jestem przy tobie – powiedział, ściskając ją mocno.

– Idzie. Nasz syn przybywa na świat.

Dziewięć miesięcy. Zrobiła to. Rzuciła wyzwanie losowi. Wszystko *będzie* dobrze. Dopilnuje, by tak było. Skoro zdołali przewyciężyć dotychczasowe przeciwności, pokonają wszystko.

– Jeszcze jedno porządne pchnięcie, dziewczyno. Wiem, że jesteś zmęczona, ale jeszcze raz, solidnie, i będziesz mogła odpocząć – zachęcał ją lekarz.

Była zmęczona, tak bardzo zmęczona. Wiedziała, że lekarze mieli rację, więc obawiała się o swego syna. Czy jej mąż będzie go kochał, gdy ona odejdzie? A może będzie go obwiniał?

– Obiecuj mi, Finlay, że będziesz kochał naszego syna bez względu na to, co się stanie.

Twarz mu pobladła.

– My, my będziemy go kochali – powiedział.

Chciała w to wierzyć, w to, że będzie przy nim, przy wszystkich jego urodzinach, ale już wiedziała, że tak się nie stanie. Odchodziła, lecz przedtem zobaczy swoje dzieciątko.

– Obiecuj mi!

– Dobrze, obiecuję.

Zadowolona myślą, że mąż dotrzyma słowa, zebrała resztki sił i wydała ich syna na świat. Wiedziała, że to chłopiec, jeszcze zanim powiedzieli jej o tym lekarze. Dotknęła jego czarnych włosów i spojrzała w bladoniebieskie oczy. W tym jednym spojrzeniu zawarła miłość całego życia.

– Doktorze, wskaźniki spadają.

Lekarz już oddawał noworodka położnej i zaraz potem wziął się za tamowanie krwotoku. Krew uchodziła z niej za szybko i w zbyt dużych ilościach.

– Musimy powstrzymać krwawienie.

Widząc krew wypływającą z ukochanej, Finlay całkowicie zapomniiał o dziecku. Całą uwagę skupił na żonie.

– Co się dzieje?

– Zabierzcie go stąd – nakazał lekarz.

– Niech pan ją ratuje. Niech pan ratuje moją żonę.

Doktor pracował szybko i efektywnie, ale trzydzieści lat doświadczenia mówiło mu, że nie ma szans na poradzenie sobie z takimi uszkodzeniami ciała. Gdy doszło do zaniku czynności serca, dał temu spokój.

– Co pan wyprawia? Niech pan jej pomoże! – Finlay miotał się, widząc leżącą nieruchomo żonę.

– Elektrody – nakazał lekarz, ale wiedział, że to tylko po to, by ułagodzić męża.

– Odsunąć się... Strzelam! – krzyknęła pielęgniarka.

Bez zmian.

– Jeszcze raz – wydał polecenie doktor.

– Odsunąć się... Strzelam!

– Brak pulsu. – Inna pielęgniarka dotknęła jej szyi.

– Jeszcze raz.

– Odsunąć się... Strzelam!

Finlay obserwował w absolutnym przerażeniu, jak jego piękna żona odchodzi.

– Czas zgonu: dwudziesta czwarta trzydzieści dwie.

Finlay spojrział na lekarza, a później na dziecko krzyczące, by wypełnić płuca powietrzem, w końcu jednak skupił wzrok na swojej ślicznej żonie i krwi wokół niej. Jego pełen udręki wrzask słychać było aż na drugim końcu szpitala.



– Trzymaj to z dala ode mnie. Nie chcę tego oglądać ani słyszeć.

Gdyby go nie oszukała, nic by się nie stało.

– To tylko noworodek.

– Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

– Zastanów się, co mówisz. Pomyśl o Abigail.

– Nie chciałem tego. Oszukała mnie. I to ją zabiło.

Miał wyrzuty sumienia, pamiętając o obietnicy, jaką wymogła na nim żona, lecz ona pierwsza złamała tę, którą złożyła jemu, i przez to umarła. Wykrwawiła się na stole porodowym, gdy wypchnęła z siebie to coś. To ją zabiło. Jak, do ciężkiej cholery, mógł pokochać coś, co zabiło osobę, którą kochał najbardziej na świecie?

– Zejdź mi z oczu, kobieto!

– Dasz chociaż swojemu synowi imię?

– Jeśli chcecie, żeby miał imię, sami mu je nadajcie – powiedział, odchodząc.

Musiał się upić. Zrobić cokolwiek, by przestać czuć ból wypełniający pustkę, która powstała po utracie żony, i piekła, które sam sobie zgotował.

Fenella i Finnegan byli przy rodzinie McIntyre'ów, od kiedy tylko Finlay i Abigail zaczęli ze sobą chodzić. Tragedia, jaka spotkała ich młodziutką panienkę, złamała im serce, ale okrucieństwo ojca tego malarstwa było nie do pojęcia.

– On przyjdzie. Teraz jest w żałobie, ale przyjdzie – powiedziała Fenella.

Finnegan nie był tego taki pewien. Mężczyzna, który odwraca się plecami do swojego nowo narodzonego dziecka... Cóż, w jego przekonaniu nie jest wart tego miana.

– To dziecko trzeba przewinąć i nakarmić. Będziemy potrzebować mleka – orzekła Fenella, kołysząc noworodka w ramionach.

Finnegan dotknął jego miękkich jak jedwab ciemnych włosów.

– Jest słodkim maluszkiem. Nigdy wcześniej nie widziałem oczu w takim odcieniu błękitu. Błede jak księżyc.

– Tak, jest śliczny, ale zaraz będzie płakał, jeśli nie zdobędziemy dla niego jakiegoś jedzenia.

– Dobra dziewczucho, słyszę. Już idę. Jak go nazwiemy?

Fenella nie wahała się ani chwili. Wiedziała, jakie imię wybrałaby dla swojego dzieciątka świętej pamięci matka.

– Brochan.

– Tak jak chciała nasza droga, słodka panienka. – Finnegan uśmiechnął się z aprobatą.

– Tak.

– A *laird*<sup>1</sup>?

Mężczyzna nie krył wściekłości na bogacza z powodu tego, jak traktował syna.

– W końcu się zjawi – zapewniła go, zawsze bardziej spokojna, Fenella.



*Laird* się nie zjawił. Po stracie Abigail nie był już tym samym człowiekiem. Nigdy nie opuszczał gabinetu. Co noc się upijał, by zasnąć.

Brochan był słodziutkim chłopczykiem. Nic nie wiedział o spustoszeniu, jakie przyniosło ze sobą jego przyjsie na świat. Nie miał pojęcia o tym, że jego mama wydała ostatnie tchnienie, aby go urodzić. Nie wiedział też, że po jej utracie ojciec całkowicie się pogubił oraz że to właśnie jego obwiniął o jej śmierć.

Kilka miesięcy po przywiezieniu chłopca do domu Fenella wstała, żeby do niego zajrzeć. Malec przespał już większość nocy. Nie dziwiło jej to, bo zwykle miał spokojny, słodki sen. Weszła do jego pokoju i zatrzymała się, gdy dostrzegła stojącego nad łóżeczkiem Brochana *lairda*. Jej serce zabiło żywiej, pomyślała bowiem, że Finlay przebolewał już stratę i jest gotowy, aby być

<sup>1</sup> Laird (szkoc. – pan, dziedzic) – tradycyjne określenie szkockich posiadaczy ziemskich.

ojcem dla swojego dziecka. Że dojrzał w twarzy syna rysy Abigail. A potem zobaczyła jego dłonie zaciśnięte w pięści tak mocno, że zbieleły mu knykcie. Nie wiedziała, co by zrobił, gdyby Brochan nie zaczął się wiercić i domagać butelki z mlekiem. Tej nocy w jej sercu po raz pierwszy pojawił się strach. Strach o to, co może spotkać chłopca z rąk jego własnego ojca.



## BROCHAN

Rok 1987

– Popatrz, mamo.

– Nie jestem twoją mamą, Brochanie. Twoją mamą była Abigail. Rozmawialiśmy o niej.

– Mama jest w niebie.

– Tak. Jesteś do niej podobny. Miała oczy w ciemniejszym odcieniu błękitu, ale tak samo czarne włosy.

– Czy ja mogę pójść do nieba?

– Pewnego dnia.

– Pozna mnie?

– Tak. Matka zawsze pozna swoje dziecko.

– A czy będzie mnie kochała?

– Oczywiście.

– Tata mnie nie kocha. Z tatusiami jest inaczej?

Zrobiła taką minę, jak zawsze, gdy wykradałem kolejnego herbatnika, tylko straszniejszą.

– Twój ojciec jest pogrążony w smutku. Bardzo kochał twoją mamę.

– Skoro wyglądam jak ona, to może i mnie też pokocha.

– On cię kocha. – Teraz wyglądała na smutną.

Nie kochał mnie. Widziałem to, gdy na mnie patrzył. Nie miałem pojęcia, co takiego zrobiłem. Nigdy ze mną nie rozmawiał, ale mnie nienawidził.

Żołądek ścisnął mi strach, kiedy jego samochód pojawił się na drodze dojazdowej. Wściekał się na mnie nawet wtedy, gdy nie robiłem nic złego. Próbowiałem go zadowolić, sprawić, by poczuł się dumny, lecz on zawsze spoglądał na mnie z gniewem.

Finnegan uczył mnie jeździć na rowerze. Mówił, że szybko się uczę, cokolwiek to znaczyło. Chciałem pokazać tacie, jak jeżdżę. Może, jeśli zobaczy, jak radzę sobie z rowerem, nie będzie aż taki zły. Poczuję dumę.

Samochód zatrzymał się i wysiadł z niego tato. Był postawnym mężczyzną.

– Fenello, ubierz chłopaka do kolacji. Nadjeżdżają moi współnicy. Musi się odpowiednio zaprezentować.

– Tato, zobacz, umiem jeździć na rowerze! Finnegan mnie nauczył.

Jego niebieskie oczy zwróciły się ku mnie. Poczulem takie podniecenie, że zaczęły mi się trząść nogi, a wraz z nimi rower. I wtedy spadłem. Kamienie, którymi wysypany był podjazd, wbiły mi się w kolana. Usiłowałem nie płakać, ale gdy zobaczyłem, jak po nogach spływa mi krew, nic z tego nie wyszło.

– Ucisz go albo ja to zrobię. I umyj.

Tato odwrócił się i wszedł do środka, nie pytając nawet, czy wszystko w porządku. Za to Fenella z Finneganem nadbiegli oboje.

– Wszystko w porządku, Brochannie. Oczyszczimy te skaleczenia i może dam ci herbatnika.

– Przed kolacją?

– Tak.

Chciałem dostać ciastko, więc bardzo się starałem, by przestać płakać. Na moje ramię opadła wielka dłoń Finnegana. Ucisnął mnie tak, że poczułem się kochany, chroniony.



– Wierzę, że boli, mój mały, ale wszystko będzie dobrze.

Otarłem łzy i robiłem wszystko, żeby smarki nie spływały mi po twarzy.

– Dlaczego tata mnie nienawidzi?

– Ludzie przeżywają żal na rozmaite sposoby.

Twarz Fenelli złagodniała, jak zwykle, gdy była naprawdę smutna. Nie lubiłem, kiedy była smutna, więc wstałem i ugryzłem się w język, żeby przestać płakać. Kolana naprawdę mnie bolały.

– Może mógłbym dostać przed kolacją dwa herbatniki?

Uśmiechnęła się.

– Może...



## Rok 1989

– Au!

Tato obudził mnie, wyciągając z łóżka za włosy. W jego oddechu czułem zapach whisky.

– Jesteś zły. Nim jeszcze po raz pierwszy odetchnąłeś powietrzem, zabiłeś własną matkę. Jesteś potworem, niczym więcej – mówił, ciągnąc mnie przez korytarz.

– Tato, proszę...

– Zamknij się.

– Będę się lepiej zachowywał.

– Masz mroczną duszę. Nic na to nie poradzisz.

– Będę się lepiej zachowywał. Naprawdę. Będę ciszej.

Próbowałem iść na własnych nogach i się uwolnić, ale stawał długie kroki. Na schodach straciłem oparcie. Moje plecy i tyłek uderzały o stopnie, gdy mnie po nich ciągnął. Doszedł do frontowych

drzwi. Fenella i Finnegan wybiegli z pomieszczenia dla służby, oboje ubrani w piżamy.

– *Lairdzie*, co pan robi? – spytała Fenella.

– Pracujesz dla mnie, nie zapominaj o tym! – ryknął. – Jeśli ktoś pozwoli mu wejść, może się pakować i wypierdalać.

Otworzył drzwi. Twarz owiało mi lodowate zimowe powietrze.

– Jesteś wyłącznie zwierzęciem, a zwierzęta żyją na zewnątrz.

Ciężkie drewniane drzwi zatrzasnęły mi się przed nosem. Zacząłem w nie walić. Przez piżamę kąsało mnie zimno.

– Tato, proszę, pozwól mi wejść. Proszę! Tato! Jest zimno. Proszę! Proszę!!!

Tłukłem nieustannie w masywne drewno, więc zaczęły mnie palić ręce. Waliłem tak długo, że w końcu dłonie poczęły mi drętwieć, a ramiona boleć. Zwinąłem się na progu w kłębek i próbowałem przekonać sam siebie, że czuję, jak z wnętrza domu przenika na zewnątrz ciepło.

W końcu mu przejdzie i Fenella z Finneganem pozwolą mi wejść.

Gdy drzwi się wreszcie otworzyły, byłem już całkiem skostniały. Ciało miałem tak odrętwiałe, że nie czułem dłoni Finnegan, kiedy brał mnie na ręce.

– Jest zimny jak lód.

– Mógł umrzeć – syknęła Fenella.

– Myślę, że taki miał plan. – Finnegan był wściekły. Nigdy nie słyszałem, by mówił tak przerażającym głosem.

– Jak się dowie, że walnąłeś go w głowę... – ostrzegła Fenella.

– Nic nie będzie pamiętał.

– Nie możemy sobie pozwolić, żeby nas zwolnił. Ktoś musi się opiekować Brochanem.

– Tak, ale jeśli zrobi mu to jeszcze raz, już ja mu odpłacę tą samą monetą.

– Nie będę cię powstrzymywać.



Rok 1990

Fenella nie czuła się zbyt dobrze. Siedziałem przy niej i trzymałem jej lodowato zimną dłoń. Podczas snu przebudzała się czasem, kaszląc tak bardzo i tak długo, że aż mnie to przerażało. Finnegan gdzieś pojechał, żeby przywieźć więcej leków. Poszedłem do kuchni, by nalać wody do dzbanka, na wypadek gdyby się obudziła i chciała pić. Nie wiedziałem, że tato jest w domu, dopóki w holu nie usłyszałem jego zbliżających się ciężkich kroków. Wszedł do kuchni. Skórę wokół oczu miał zaczerwienioną. Znowu pił. Przyglądał się dzbankowi, który trzymałem w ręce. Znałem to spojrzenie. Poruszał się szybko – dopadł mnie w paru skokach, chwycił za włosy i wywlókł z kuchni.

- Musisz żałować.
- Za co?
- Za swoje grzechy.
- Jakie grzechy?
- Za to, że żyjesz.

Zaciągnął mnie do małej sadzawki, położonej na terenie posiadłości, a potem wszedł do wody. Jemu sięgała do piersi, mnie – do szyi. Zanim miałem szansę zaczerpnąć powietrza, wepchnął mi głowę pod powierzchnię. Walczyłem, by się uwolnić, a moje płuca piekły, domagając się oddechu. Nie puszczał. Nie pozwalał się wynurzyć. Trzymał mnie pod wodą tak długo, że oczy zaczęły mi zachodzić czernią. Poczulem mocne szarpnięcie i słodkie powietrze wypełniło moje płuca. Łapczywie wdychałem tlen, walcząc równocześnie z nudnościami. Nie minęło wiele czasu, nim znowu zostałem wepchnięty w ciemność.

Nazywał to chrztem. W ciągu kolejnego roku miałem być chrzczony co tydzień. Jednak nie oczyszczał mojej duszy z grzechów. Próbował mnie zabić. Fenella chciała zgłosić to władzom, a nawet zaryzykowała i powiedziała o tym miejscowemu policjantowi, a swojemu przyjacielowi Seamusowi, ale nie uwierzył jej, podobnie jak całe miasteczko. Finlay był takim dobrym, uprzejmym człowiekiem i nie byłby zdolny do okrucieństw, o jakie go oskarżała. Bardziej do pomyślenia było, że to ja jestem trudnym dzieckiem. Fenella wiedziała, że jeśli Seamus przyśzedłby do majątku i wypytywał Finlaya, mój ojciec zwolniłby ją oraz Finnegana, a to by sprawiło, że zostałbym sam ze swoim koszmarem. Za każdym razem, gdy doświadczałem jego okrucieństwa, gdy wlokłem się słaby i wyczerpany do mojego pokoju, umierała kolejna część mojej duszy.



### Rok 1995

Ojciec wyjechał w interesach. Nie miałem pojęcia, jak człowiek może prowadzić biznes, będąc szalonym. Dzięki temu, że nie było go w domu, Fenella i Finnegan mieli możliwość pojechania do Edynburga, by zobaczyć się z przyjacielem, który nieco podupadł na zdrowiu.

Siedziałem w kuchni i pracowałem nad zadaniem domowym, gdy usłyszałem hałas. Był dosyć słaby, ale pochodził z piętra poniżej. Czasami do spiżarni dostawały się gryzonie. Mógłbym przysiąc, że poprzednim razem Fenella podskoczyła na dwadzieścia stóp. Zabawne, ale gryzonie wyżerały wszystko ze spiżarni szybciej, niż Finnegan był w stanie obalić kufel piwa. Wziąłem latarkę i ruszyłem do niższej części zamku. Było zimno i ciemno, a ja nieustannie się trząsałem, bynajmniej nie z powo-

du temperatury. Znajdowały się tu lochy – niewielkie kamienne cele ze starymi żelaznymi odzwami i zamkami. Kiedyś, w czasach moich przodków, w tych celach naprawdę trzymano ludzi. Wielu w nich zmarło. Zastanawiałem się, co gorsze: umrzeć z głodu czy zostać zjedzonym przez gryzonie i insekty.

Doszedłem do spiżarni, ale nie dostrzegłem żadnych myszy ani szczurów. Wszystko też zdawało się być na swoim miejscu. Nagle głowa eksplodowała mi bólem. Zdezorientowany i skonfundowany, bo przecież w domu nikogo nie było, nie stawiałem oporu, gdy ktoś zaczął mnie ciągnąć. Dopiero kiedy usłyszałem charakterystyczne szczęknięcie zamykanych drzwi, dotarło do mnie, co się dzieje, i przeszło mnie uczucie paniki. Dopadłszy drzwi, zobaczyłem z drugiej strony mojego ojca. Miał obłąkany wyraz twarzy. Kłamał, że wyjeżdża w interesach. Od początku to planował.

– Tato, wypuść mnie.

Zaśmiał się straszliwym obłąkańczym śmiechem.

– Nie rób tego.

Chrzty to jedno, lecz to było coś zupełnie nowego. Ojciec kompletnie oszalał.

– Wypuść mnie! Wypuść! Proszę!!!

– Gnij – warknął, po czym zabrał upuszczoną przeze mnie latarkę i odszedł.

Światło stawało się coraz mniejsze, aż w końcu otoczyła mnie jedynie ciemność. Szarpnąłem kraty i zacząłem drapać kamienne mury, aż palce zaczęły mi krwawić. Było okropnie zimno, również dlatego, że w lochach panowała wilgoć. Słyszałem dalekie odgłosy gryzoni, ich pazurki na kamiennych podłogach. Z początku dawałem radę je odganiać, ale przesiedziałem w celi trzy dni, zanim znalazł mnie przerażony Finnegan. Nie pamiętam już momentu, kiedy przestałem czuć chodzące po mnie szczury. Kiedy przestałem czuć cokolwiek.



## Rok 1998

– Brochan, przestań! Zabijesz go.

Krew buzowała mi w żyłach. Dłonie miałem zaciśnięte, knykcie opuchnięte, ale nie przestawałem. Był w tym pewien rytm, rodzaj piękna, gdy moje pięści uderzały w ciało i kości.

Silne ręce odciągnęły mnie od Tomasa. Przez jakiś czas będą go karmić przez słómkę. Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– Brochan!

Nauczycielka już nadbiegała. Była nowa, nie w okolicy, ale przez pewien czas tu nie mieszkała, ponieważ wyjechała na studia i podróżowała.

– Mogłeś mu naprawdę zrobić krzywdę.

– Ja mu naprawdę *zrobiłem* krzywdę.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie?

– Tak, wiem, w jaki sposób myślisz. Wiem, że zrobiłeś to bez zasadnego powodu, ale coś cię napędzało. Co to było?

– To kutas.

– Wyrażaj się. Dlaczego?

– Spójrz tylko na niego.

– Brochan, zawieszą cię.

– Mam to w dupie. Wcale się tu nie prosiłem.

Wielki facet położył mi dłoń na ramieniu i je uściśnął.

– Nie mów tak do niej. Tylko ona nie ma w dupie, co się z tobą stanie.

– Ty też się wyrażaj, Fergus – zbeształa go Brianna, po czym dodała: – Powiedz, Brochan.

Te jej oczy... Były zwierciadłem duszy. Przynajmniej tak zawsze mawiał ten kawał chuja, mój tato. Jeśli to prawda, to mój ojciec był solidnie pojebany. W oczach nauczycielki widziałem ciepło, dobro... bezpieczeństwo.

Był powód, dla którego rzuciłem się na tego kretyna. Zabrał mi medalik ze świętą Małgorzatą. Jedyną rzecz, którą miałem po mamie. Fenella dała mi go na urodziny. Rozwarłem palce, żeby pokazać go Calhoun.

Dotknęła mojej ręki, a ja chciałem ją cofnąć. Jej dłoń była miękka i ciepła, gdy wsunęła ją pod moją. Miała jasne oczy, zielone, w tym samym odcieniu, co wzgórze dookoła naszej wioski.

– Przykro mi, że ci to zabrał.

– Nieważne...



Kilka dni po tym, jak dałem Tomasowi nauczkę, byłem z Fenellą w kuchni, gdy z głównego holu dobiegły nas podniesione głosy. Zjawił się Finnegan.

– Mamy problem – powiedział.

Poszliśmy do salonu i ujrzeliśmy moją uroczą i pozornie słodką nauczycielkę, jak idzie z Finlayem McIntyre.

– Widziałam siniaki. To się musi skończyć albo zawiadomię władze.

– Grozi mi pani w moim własnym domu?

– Właśnie tak. Słyszałam plotki. Te, co do których ludzie się upierają, że są nieprawdziwe. Które ponoć są wytworem wyobraźni trudnego dzieciaka. Ale to prawda. Każdy okropny szczegół. Zaprzestanie pan tego.

– Bo co?

– Bo pana zmuszę. Nie przestraszy mnie pan. Doznał pan straszliwej straty, ale to, co pan robi swojemu synowi, jest złe. Co by na to powiedziała pana żona?

Uniósł dłoń. Wbiegłem do pokoju i wsunąłem się między nich. Po raz pierwszy jego gniew nie był skierowany przeciwko mnie.

– Jak pani śmie wypowiadać się na temat mojej żony?

– Popelnia pan okropne czyny, wszystko z jej powodu. Zapewne przewraca się w grobie, widząc, jak traktuje pan jej dziecko.

Ojciec wyglądał, jakby dostał wścieklizny. Z ust przypominających pysk warczącego psa spływała ślina.

– Co ty możesz wiedzieć?

– Wiem, że oddała życie za swoje dziecko, a pan zamiast trzymać się tej ostatniej cząstki, jaka z niej pozostała, kochać go, jak i ją pan kochał, zamienił pan jego życie w piekło. Jakim cudem ukrywał pan to tak długo, nie mam pojęcia, ale skończy pan z tym albo dopilnuję, żeby pańskie dupsko znalazło się za kratami.

– To potwór! Zabił moją żonę! – ryknął ojciec.

– Nie, to *pan* jest potworem.

Usłyszawszy, jak ktoś wypowiada te słowa na głos, byłem tak oszołomiony, że nie zdążyłem zareagować, kiedy Finlay zaciśnął dłoń w pięść, a Finnegan krzyknął. Ojciec uderzył ją prosto w twarz. Jej głowa odskoczyła do tyłu, a wargi się rozchyliły, nim uderzyła o podłogę.

Każdy ma granice wytrzymałości. Ja właśnie osiągnąłem swoje. Przyłożyłem mu w brzuch. Ale nie poprzestałem na jednym uderzeniu. Waliłem go tak mocno i tak długo, że gdy Finnegan wreszcie mnie odciągnął, ojciec nie oddychał.

Jeszcze tej nocy dom rodu McIntyre'ów, moje piekło, spłonął do gołej ziemi.



*...cienie...*

# ROZDZIAŁ DRUGI



## LIZZIE

Rok 1992

DOTKNĘŁAM PALCAMI CZARNEGO WILKA NA ILUSTRACJI W KSIĄŻCE, którą przyniosłam do domu ze szkoły. Miał być tym złym w całej historii. Wyglądał dziko i strasznie, lecz widziałam w nim też coś pięknego. Na odgłos walenia do drzwi, po którym usłyszałam rozgniewany głos ojca, pobiegłam w kątek pokoju. Teraz zaczął się kłócić. Nie za często tu bywał, ale gdy już się zjawiał, wrzeszczeli tak głośno, że nikt w budynku nie miał szans na sen.

– Masz, czego chciałaś, pierdolony pierścionek na palcu, lecz nic ponadto.

– Chcesz się ze mną rozwieść? Przecież ty tu nawet nie mieszkasz. Nie dałeś nam żadnej szansy.

– A dlaczego, do chuja, miałbym to zrobić?

– A twoja firma, ci arcykonserwatywni mężczyźni? Myślisz, że przejdą do porządku dziennego po tym, jak zostawisz żonę i dziecko?

– Wszyscy mają przynajmniej jedną kochankę. Dziecko z nieprawego łoża. A to sprawi, że będą udawać, że nic się nie stało. Kiedy cię zostawię, nawet nie mrugną.

– Nie możesz mnie zostawić.

– Mój prawnik już szykuje papiery. Jesteś nieźle pokręconą suką, skoro wciągnęłaś w to wszystko dziecko. Dobrze się ciebie ruchało,

ale po pewnym czasie nawet to mi się znudziło. Czy naprawdę sądziłaś, że zajście w ciążę zmieni nas w kochającą się rodzinę? Dziecko nosi moje nazwisko, więc ma wszystko, co trzeba, ale między nami koniec. Możesz zatrzymać ten apartament, zapewnię ci także poziom życia, na jaki zarobiłaś własną dupą, ale wiedz, że mam już inną kobietę, która ogrzewa mi łóżko.

– Ty skurwysynu!

Coś uderzyło o ścianę.

– Tak, pokaż, kim naprawdę jesteś, Norah. Owszem, *jestem* synem kurwy. Nigdy nie próbowałem być kimś, kim nie jestem. To twoja działka.

– Zniszczę cię!

– Nie groź mi. Pamiętasz Heather Craig? Właśnie tak, bój się. Wiem, gdzie są zakopane jebane ciała.

Trzasnęły drzwi, coś w nie walnęło. Zwinęłam się w rogu pokoju w tak maleńką kulkę, w jaką tylko mogłam, i zaczęłam płakać. Byłam dzieckiem. Jednym z tych bardzo niechcianych.

W drzwiach stanęła matka. Zaczęłam się trząść. Dzieciaki boją się potworów czyhających pod ich łóżkami albo w szafach, ale mój potwór stał właśnie przede mną.

– Zniszczyłaś mi życie. Żałuję, że cię urodziłam.

Często tak do mnie mówiła, a jednak to nadal bolało. Tym razem byłam również przerażona. Kiedy odeszła, podbiegłam do drzwi i zamknęłam je szybko. Wzięłam do ręki książkę, wsunęłam się pod kołdrę i mocno zapragnęłam, żeby wielki, zły wilk był tu ze mną i mnie ochronił... przed nią.



## Rok 1997

– Powinnaś była nalegać, żebyś założyła różową sukienkę. Czerni sprawia, że jesteś rozmyta. Teraz już za późno. Przebiera-

nie zniszczyłoby ci fryzurę. Nie garb się i nie obżeraj. Już teraz masz trochę brzuszka.

Po moim ciele przesuwiał się zimny, oceniający wzrok. Matce nie spodobało się to, co zobaczyła, więc jej doskonale usta wykrzywiły się z dezaprobatą.

– Już się garbisz. Ramiona do tyłu, Elizabeth. – Wbiła palce w moje ciało, gdy z całej siły odciągnęła mi ramiona w tył.

– Auć!

– Nie zachowuj się jak dziecko. Masz już dziesięć lat. Planowałam dać ci prezent dopiero wtedy, kiedy zjawi się twój ojciec, ale jeśli wszystko będzie jak do tej pory, na te urodziny również się nie pofatyguje.

Nie była to paczka zawinięta w ładny papier, obwiązana wstążką z kokardą ani jedna z tych fantazyjnych torebek prezentowych z cudownymi kolorowymi bibułkami. Nie było balonów czy wstążek. Żadnych świeczek, a jedynie szara koperta, która w lewym górnym rogu miała napis: Akademia Stone Crest.

– Co to jest?

– Szkoła z internatem w Vermont. Zaczynasz od września.

– Z internatem?

– Stone Crest to bardzo droga szkoła. Za prezent opiewający na sto tysięcy rocznie za naukę i zakwaterowanie mogłabyś wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu.

Porzucenie to porzucenie. Guzik mnie obchodziło, ile kosztuje.

– Tak, mamó.

To były moje urodziny i matka organizowała przyjęcie. Nie była to impreza dla mnie. Prawie żaden z moich przyjaciół nie został zaproszony. Nie żebym miała ich jakoś szczególnie dużo, bo matka nie akceptowała większości z nich, a tych kilku, którzy faktycznie zostali zaproszeni, nie przyszło już drugi raz. Miała sposoby na odstraszenie ludzi. To było jej przyjęcie – kolejna okazja, by pokazać się przyjaciołom.

– Żebyś mi nie przyniosła wstydu, Elizabeth.

Po tej uwadze Norah Danton odwróciła się na pięcie i odeszła.

*No to najlepszego dla mnie...*

Wychodząc z pokoju, powłóczyłam nogami i zastanawiałam się, jak długo będę musiała wytrzymać. Matka zwykle na takich przyjęciach solidnie piła, więc pewnie nie więcej niż godzinę. Przez ten czas byłam cudownym małym aniołkiem dla wszystkich jej znajomych. Znosiłam szczypanie w policzek, badawcze spojrzenia i uwagi, które mruczeli pod nosem, myśląc, że ich nie słyszę, bo jestem mała, co dla nich było synonimem słów „głupia” i „głucha”. Kiedy charakter przyjęcia się zmieniał, uciekałam do ogrodu, usytuowanego na dachu naszego budynku. Światła Nowego Jorku migotały w oddali, a ludzie przemieszczali się to w tę, to w inną stronę. Każdy gdzieś się spieszył. Może pędził na przyjęcie albo miało mu się urodzić dziecko, a może biegł do rodziny, która czekała z obiadem, by mogli go zjeść razem.

Matka nie jadła, chyba że posiłek był w formie płynnej, w kieliszku do martini. Ojciec nigdy nas nie odwiedzał, ale dwa razy w roku wysyłał mi pocztówkę – raz na urodziny i raz na Boże Narodzenie. Zawsze koperty otwierała matka. Twierdziła, że chce zobaczyć, jak opisuje swoje uczucia. Nie to, żeby faktycznie o jakichś pisał. Tak naprawdę po prostu chciała zabrać pieniądze, które przysyłał. Słyszałam, jak przez telefon opowiadała jednemu ze swoich przyjaciół, że zarobiła kasę za użeranie się z tłustym bachorem. Byłam środkiem prowadzącym do celu – celu, którego już nie mogła osiągnąć, więc teraz wysyła mnie do szkoły z internatem. Myślę, że nie chciała już kłopotać się wychowaniem dziecka. Nie znosiłam życia w tym miejscu, ale szkoła z internatem... Na samą myśl czułam skurcz w żołądku. Jeszcze osiem lat – i będę wolna. Nie miałam pojęcia, dokąd pójdę ani co zrobię, lecz na pewno się od niej uwolnię. Mówiłam sobie, że wytrzymam te osiem lat. A przynajmniej taką miałam nadzieję.



Akademia Stone Crest wyglądała dokładnie tak, jak możecie sobie wyobrazić – wielka, stara, ponura i zimna. Jechaliśmy długim podjazdem.

– Zachowuj się z godnością, Elizabeth. Pamiętaj, że jesteś z rodu Danton.

A kiedy to nie zachowywałam się z godnością? Trzymała mnie na tak krótkiej smyczy, że ledwo mogłam myśleć, nie narażając się na jej krytykę.

– Przyjedziesz na święta?

– Nie. – Westchnęła zirytowana. – Myślę, że nie ma potrzeby tego przed tobą ukrywać... Przeprowadzam się do Kalifornii. Zdrowie mi nie dopisuje.

Poczułam, jak pierś ściska mi panika.

– Ale będę tu sama.

– Bycie samotnym nie jest takie złe. Będziesz miała więcej czasu, żeby skupić się na nauce. Program jest tu niełatwy i... cóż, na pewno będzie stanowił dla ciebie wyzwanie.

Innymi słowy – byłam głupia.

– Dlaczego nie mogę chodzić do szkoły z internatem w Kalifornii?

– Dyskutujesz ze mną?

– To uczciwe pytanie.

– Upewnię się, że w Stone Crest wiedzą, że w twoim przypadku dyscyplina jest pożądana i powinna być stosowana jak najczęściej. Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, ofiarach, jakie musiałam ponieść, tak się do mnie odzywasz?

Nie licząc wynajdywania moich rzekomych wad, nie zrobiła dla mnie nic. Nie prosiłam się na ten świat i gdybym wiedziała, gdzie się urodzę, na pewno powiedziałabym „nie”. Byłam następstwem *ich* działań, ale pojawianie się zagrożenia karą cele-

sną spowodowało, że cała moja odwaga się ulotniła.

Zatrzymała się przed wielkimi czarnymi dwuskrzydłowymi drzwiami. Widniał nad nimi wyrzeźbiony w kamieniu herb akademii.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że to ty jesteś problemem? – zapytała, odwracając się do mnie. – Twój ojciec i ja... Co jest wspólnym mianownikiem? Ty, Elizabeth. Niektórych się po prostu nie da kochać.

Po tych brutalnych słowach wysiadła z samochodu. Nie byłam w stanie poruszyć rękami, żołądek mi się skurczył i poczułam mdłości. Miała rację? To ja byłam problemem? Udało mi się ukryć ból. Obnażanie go przed nią nic by nie dało. Wyciągnęła z auta moje bagaże, ale nie zaprowadziła mnie do biura zapisów. Stałyśmy na podjeździe, patrząc jedna na drugą z mniej więcej taką serdecznością, jaką okazałoby sobie dwoje nieznajomych.

– Zachowuj się.

Tak brzmiały jej ostatnie wypowiedziane do mnie słowa.

Ściskając mocno w dłoniach dwie walizki, patrzyłam, jak odjeżdża z mojego życia bez pożegnania, bez pocałunku czy uścisku. Nie płakałam. Płacz nie pomagał, ale mimo to jedna jedyna łza spłynęła mi po policzku. Odwróciłam się, spojrzałam na herb i pojawiło się we mnie obrzydliwe uczucie, że jakkolwiek okropny był do tej pory mój żywot, właśnie miał stać się jeszcze gorszy. Kiedy wreszcie zebrałam się w sobie, cofnęłam ramiona i na trzęsących się nogach weszłam w kolejny rozdział mojego życia.



Moje ramię przeniknął ból, ale przygryzłam wargi, żeby nie krzyknąć. Linijka opadła po raz kolejny na to samo miejsce. Oczy zaszyły mi ciemnymi plamami. To był już trzeci tydzień w tym miejscu i ośmieliłam się sięgnąć po drugi kawałek placka.

– Obżarstwo to grzech, Elizabeth. Chcesz być grzesznicą?

– Nie, pani Meriwether.

– Będziesz jeszcze wyciągać rękę po kolejne porcje podczas deseru?

– Nie, pani Meriwether.

– To się tyczy was wszystkich. Nieznajomość zasad nie jest usprawiedliwieniem. Tu, w Akademii Stone Crest, dążymy do tego, aby przekształcić was w dobrze się zachowujące i zdyscyplinowane młode damy. Niech to będzie nauka dla was wszystkich. Możecie odejść. Ty nie, Elizabeth. W ramach kary umyjesz naczynia po kolacji.

Bezmyślnie zaczęłam zbierać nakrycia. To nie była szkoła z internatem. To było piekło. Matka nie żartowała, kiedy zagroziła, że zachęci ich do dyscyplinowania mnie. Pani Meriwether była najgorsza ze wszystkich. Musiała kiedyś przebywać w jakimś klasztorze. Wykorzystywała swoją pokręconą wersję religii jako uzasadnienie zadawania bólu i karania. Była też dyrektorką szkoły, więc jej nastawienie przekładało się na postawę reszty personelu. Jej metody były złe, ale działały, bo na pewno nie miałam zamiaru kiedykolwiek ponownie sięgać po drugą porcję.

Posprzątanie po kolacji zajęło mi dwie godziny, co oznaczało, że przez większość nocy będę odrabiać zadanie domowe, a siedzenie po capstrzyku stanowiło kolejne przewinienie podlegające karze. To samo jednak dotyczyło nieodrobienia pracy domowej. Tak czy inaczej, miałam przechłapane. Wrzuciłam ścierki do naczyń do kosza i zanim poszłam do swojego pokoju, upewniłam się, że wyłączyłam wszystkie światła. W połowie drogi przypomniałam sobie, że nie wzięłam swetra. Zawróciłam i zauważyłam w kuchni światło. Dał też o sobie znać mój wyostrożony szósty zmysł, więc nie weszłam tam tak po prostu, tylko zajrzałam przez uchylone drzwi. Widok, jaki ukazał się moim oczom, spowodował, że niemal użyłam słowa, za które pewnie musiałabym myć usta mydłem. Przy ladzie siedziała pani Meriwether, ale dopiero kiedy zobaczyłam przed nią dwa kawałki



ciasta, poczułam, jak zalewa mnie krew. Gdybym tylko była większa i silniejsza, trudno byłoby mi się oprzeć pokusie, by do niej nie podejść i nie przyłożyć jej w tę obłudną gębę. Tyle w temacie praktykowania zasad, które głosiła.



Co tydzień dowozili pocztę, a co dwa ktoś mógł do nas zadzwonić. Niełatwo było siedzieć w jadalni i tydzień po tygodniu patrzeć, jak inne dzieciaki otrzymują z domu listy i paczki. Ojciec nadal trzymał się tradycji przysyłania mi na urodziny i Boże Narodzenie pocztówek z pieniędzmi. Wiedziałam, że kartki pisze jego asystent, ale mimo to je zatrzymywałam. Pieniądze chowałam pod materacem. Nie miałam współlokatorki, nikt też nie wchodził do mojego pokoju, więc były tam bezpieczne.

Matka nigdy nie dzwoniła ani nie pisała. Zwyczajnie dała sobie ze mną spokój. Wsadziła mnie tutaj i zaczęła życie od nowa. Często się zastanawiałam, co też ona powiedziała mojemu ojcu, bo wszak to on opłacał chesne za mój pobyt tutaj. Czyżby twierdziła, że jestem trudnym dzieckiem? Że jestem krnąbrna i potrzebuję dyscypliny? Najpewniej. Czasami miałam ochotę zadzwonić do niego i opowiedzieć mu to i owo, ale obchodziłam go tak samo jak i ją. Jasne, płacił za szkołę, lecz z tego, co matka mówiła swoim przyjaciółkom, wiem, że nawet nie odczuwał kosztów chesnego, a przesłane pieniądze sprawiały, że miał z głowy zarówno mnie, jak i rodzicielkę.

Często przypominałam sobie słowa wypowiedziane przez matkę na pożegnaniu. Że to ja stanowię problem, nie oni. Wiedziałam, że to nieprawda, ale i tak jakaś część mnie się nad tym zastanawiała. Może pewnego dnia znajdę swoje miejsce. Znajdę dom. Może nawet odnajdę kogoś, kto mnie pokocha. Teraz jednak musiałam przeżyć osiem lat w piekle.



Idąc korytarzem do klasy, zamyśliłam się i niemal na kogoś wpadłam.

– Przepraszam...

To była Nadine, ulubienica personelu.

– Patrz, gdzie łazisz, piczko.

– Przepraszam. Nie widziałam cię.

– Ślepa jesteś?

– Nie.

– Więc wpadłaś na mnie celowo.

Po plecach spłynęła mi kropla potu. Tak to właśnie tu wyglądało. Jeśli nie czepiał się ciebie personel, to starsze dzieci dręczyły młodsze. Przemoc była tu w cenie. Ostrzyło się ją jak broń. Nadine zacisnęła dłoń w pięść. Nie uciekałam, bo to tylko pogorszyłoby sprawę. Zgięłam się w pół z bólu, gdy uderzyła mnie w brzuch. Zwróciłam cały obiad. Oskoczyła i zaczęła się śmiać, ściągając na nas uwagę innych.

– Dostyc tego. Do klasy. Posprzątaj to Elizabeth – powiedziała pani Beddle.

Nie upomniała Nadine. Nie zapytała nawet, co się stało. Tak to właśnie wyglądało. O nic nie pytaj. Nie mów nikomu.

– Do zobaczyska. – Nadine przeszła obok mnie, trącając ramieniem.

Przez kolejnych kilka lat, póki nie skończyłam szkoły, stale szukała okazji, aby się na mnie wyżywać, ale nikt mi nie pomógł, ani razu nikt nie stanął w mojej obronie, nikogo to nie obchodziło.



## Rok 2003

Rysowanie stało się moją pasją i sposobem na radzenie sobie z napięciem. Każdą wolną chwilę spędzałam na szkicowaniu. Nauczyłam się, że ludzie są czymś więcej niż tylko tym, co można zobaczyć, i odkryłam, że przenoszenie tego na płótno bardzo mnie odpręża. Wiele z moich rysunków stanowiły twarze... Mroczne, pełne impresji obrazy o pustych oczach, takich bowiem było w Stone Crest najwięcej. Czasem nawet, gdy spoglądałam w lustro, widziałam, jak na mnie patrzy taka sama pustka. Dusza człowieka ma swoje granice wytrzymałości, zanim się załamie, i trzeba przyznać, że moje dotychczasowe życie złamało część mnie samej.

Zauważyłam też, że wolę być obserwatorem życia niż jego uczestnikiem. Bezpieczniej było pozostawać w cieniu, dokumentować je zamiast nim żyć. A po życiu, jakie dotąd przeżyłam, byłam gotowa, by poczuć się odrobinę bezpieczniej. Miałam nadzieję, że pewnego dnia moje drogi obserwatora staną się podstawą mojej kariery.



## Rok 2007

Zbierało mi się na wymioty. Nauczycielka od zajęć ze sztuki wysłała jeden z moich obrazów na konkurs i – wygrałam. To był autoportret. Nazywałam go *Głosy*. Kiedy już ukończyłam Stone Crest, wykorzystałam pieniądze, które przesyłał mi ojciec, na kaucję, aby wynająć studio i stanąć szczebel wyżej od bycia potępioną. Musiałam brać po dwie zmiany w miejscowej jadłodajni, aby móc sobie pozwolić na to miejsce, ale oświetlenie było idealne do malowania. Pracowałam i malowałam, póki nie stworzyłam portfolio, dzięki któremu mogłam się ubiegać o miejsce

w szkole artystycznej. Chciałam zdobyć wykształcenie, jeśli chodzi o kwestie techniczne. Udało się. Długie godziny pracy, zarywanie nocy, odkładanie każdego centa – i wreszcie dostałam się na studia wieczorowe. I oto stało się: w ekskluzywnej galerii wystawiałam swoje obrazy. Była ze mną moja wykładowczyni, ale bardzo zmieszana. Ja za bardzo się denerwowałam, by odczuwać zmieszanie. Stałam w rogu sali, obserwując, jak śmietanka artystycznego świata Manhattanu przechadza się obok mnie. Wielu z nich przystawało, aby obejrzeć moją pracę.

– Dlaczego zatytułowałaś go *Głosy*?

Omam nie dostałam zawału, zanim odwróciłam się do mężczyzny, który zadał pytanie. Był to starszy facet, zapewne po pięćdziesiątce. Z jego twarzy spoglądały na mnie miłe brązowe oczy, wokół których widniało mnóstwo zmarszczek, powstałych w wyniku częstego uśmiechania się.

– Twój obraz jest wyjątkowy, ale ciekawi mnie jego tytuł.

– To moja interpretacja wewnętrznych zmagających, jakim każdy z nas musi na jakimś etapie swojego życia stawić czoła, aniołowi i diabłu, którzy, siedząc na ramionach człowieka, próbują pchnąć go do czynienia dobra lub zła, a linia oddzielająca jedno od drugiego staje się zamazana.

Dotknął ucha i zrozumiałam, że z kimś się komunikuje. Niektórzy z kolekcjonerów wysyłali na wystawy swoich przedstawicieli.

– Brzmi osobiście – zgadł, gdy jego uwaga znowu skupiła się na mnie.

– Bo takie jest.

Przez chwilę milczał, a potem się odwrócił i wyciągnął do mnie rękę.

– Alistair Duncan. Mój klient chciałby nabyć ten obraz.

– Nie jest na sprzedaż.

– Chciałby złożyć propozycję.

Nie myślałam o sprzedaży autoportretu. Uwielbiałam go. To był mój ulubiony obraz, ale sprzedanie pierwszego płótna mogło mi otworzyć drzwi do wielkiego świata, gdzie niełatwo się było dostać, nie mówiąc o odniesieniu w nim sukcesu.

– Jest gotów zapłacić sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Nogi się pode mną ugięły i omal nie upadłam na podłogę.

– Zaskoczyłem panią. – Alistair uśmiechnął się.

– Nigdy wcześniej nie sprzedawałam swoich prac.

– Suma, jaką oferuje, jest więcej niż uczciwa.

– Wiem. – Spojrzałam ponad jego ramieniem na obraz.

Choć bardzo chciałam go zatrzymać, podobał mi się pomysł, że trafi w ręce kogoś, kto go rozumiał i polubił na tyle, że chce za niego zapłacić sporo ponad to, co jest wart.

– Dziękuję, panie Duncan. Proszę powiedzieć swojemu klientowi, że umowa stoi.

– Znakomicie.

– A mogę zapytać, kto to taki?

– Proszę wybaczyć, ale lubi pozostawać anonimowy.

Rozumiałam to. Tak było w przypadku większości kolekcjonerów. Odkryłam to w szkole artystycznej. Mimo to miło byłoby wiedzieć, gdzie trafi mój obraz.

– Mam nadzieję, że zobaczy coś nowego za każdym razem, kiedy na niego spojrzy.

– Niewątpliwie. Dziękuję, panno Danton.

– Ja również.

Jakkolwiek rozstanie się z *Głosami* było bolesne, sprzedanie tego obrazu stanowiło początek mojej kariery i krok do następnego rozdziału mojego życia.



## Rok 2009

Było już późno. Dzięki niebiosom jadalnia była nadal otwarta. Właśnie dokończyłam obraz, który przedstawiał zaułek, położony niedaleko mojego mieszkania w Garment District. Nie różnił się od innych, niezliczonych zaułków tego miasta. Kiedy zapadał zmierzch, było coś szczególnego w świetle padającym z ulicznych latarni, które oświetlały kamienne mury budynków tworzących uliczkę, jak promienie światła odbijały się od kawałków miki... To było piękne.

Naleśniki zaatakowały moje kubki smakowe. Nie jadłam całej dzień. Tak właśnie się działo, kiedy zabierałam się do obrazu. Kawa była gorąca i zapewne by mnie rozbudziła, ale wtedy, tak czy inaczej, byłabym pobudzona. Dla mnie obraz nigdy nie był skończony wraz z ostatnim pociągnięciem pędzla. Cofnęłam się o krok i tak go zostawiłam, żeby móc się mu przyjrzeć świeżym okiem. Zawsze znajdowałam coś, co jeszcze chciałam dodać.

Do baru weszła kobieta, prosząc kelnerkę o kawę. Było już po jedenastej, a ona wyglądała, jakby właśnie zeszła z wybiegu dla modelek, z doskonale ufryzowanymi włosami, wprawnie nałożonym makijażem i kostiumem sprawiającym wrażenie, jakby był szyty specjalnie na nią. Swobodnie przeszła całą długość baru na dziesięciocentymetrowych obcasach, co wyglądało imponująco. Lustrowała knajpę, póki jej oczy nie trafiły na mnie. Kiedy ruszyła w moim kierunku, poczułam pokusę, żeby spojrzeć za siebie. Bez słowa wślizgnęła się na zajmowaną przeze mnie sofę i usiadła naprzeciw.

– Lizzie Danton?

– Tak.

– Cait Allen. – Wyciągnęła do mnie dłoń z francuskim manicure.

Ujęłam ją w moją, upačkaną farbami.

– Cześć.

– Twoje prace są genialne.

Od czasu, gdy dwa lata temu sprzedałam swój pierwszy obraz, miałam trzy wystawy. Były to niewielkie ekspozycje, ale nie potrafię opisać, jak niezwykle się czułam, kiedy ludzie nie tylko na nie przychodzili, ale faktycznie oglądali moje prace.

– Dziękuję.

– Trafiasz do niewielkich galerii, z dala od utartych ścieżek, gdzie nie jesteś najbardziej eksponowaną artystką. Chcę ci pomóc stać się główną atrakcją.

– Jak?

– Wszystko zależy od tego, kogo się zna.

Każdy artysta, który był wart swojego portfolio, podskoczyłby z radości na taką propozycję, jaką właśnie składała mi Cait Allen, ale moje doświadczenie podpowiadało, że nikt nie robi nic za darmo.

– Czego chcesz w zamian?

– Chcę się wybić razem ze wschodzącą gwiazdą.

Przynajmniej była szczerą.

– Dlaczego ja?

– Bo kiedy po raz pierwszy zobaczyłam jedną z twoich prac, rozplakałam się. Nie zdarza mi się płakać, ale w twoich obrazach jest coś, co nie daje spokoju, coś niepowtarzalnego i, do cholery, wiem, że jestem w stanie je sprzedać.

Brzmiało zbyt dobrze, aby było prawdą. I to właśnie jej powiedziałam.

– Możemy porozmawiać o honorarium. Proszę tylko, żebyś dała mi szansę.

Perspektywa mojej własnej wystawy była zbyt kusząca, żeby ją odrzucić.

– W porządku.

– Poważnie? – Jej twarz pojaśniała.

– Tak.

– Nie będziesz żałować.



Nogi wchodziły mi do tyłka, a twarz bolała od nieustannego uśmiechania się, ale właśnie spędziłam noc jako główna artystka w Coquette Gallery przy Piątej Alei.

Cait siedziała obok mnie na mojej sofie. Zrzuciłyśmy buty, a nogi wyciągnęłyśmy na stoliku do kawy.

Odchyliła głowę, by położyć ją na oparciu, i gapiła się w sufit.

– Ależ to było zajebiste, no nie?

– Jeszcze nie zeszałam na ziemię.

Jej niebieskie oczy znalazły moje.

– Sprzedałaś nie tylko bilety na wystawę, ale też wszystkie swoje obrazy.

– Jeszcze nie poukładałam sobie tego w głowie...

– To dopiero początek.

– Nie byłoby mnie tam, gdyby nie ty.

– W końcu byś tam trafiła. Jesteś ogromnie uzdolniona. Po prostu potrzebujesz kogoś, kto zareklamuje twój talent, kto pchnie cię w światła reflektorów.

– Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Chcesz się tu przespać?

Cait często u mnie spała – po pracy do rana przy planowaniu marketingu i terminarza, tak więc miała tutaj ciuchy i szczoteczkę do zębów. Przez półtora roku, od kiedy się poznałyśmy, stała się nie tylko moją agentką, ale również przyjaciółką.

– Uhm. Obejrzyjmy film. Najlepiej jakiś straszny.

Dzięki Cait rozpoczęłam kolejny rozdział mego życia i jak na razie bardzo mi się podobał.



# ROZDZIAŁ TRZECI



## BROCHAN

### Obecnie

ASHLEY WTULIŁA SIĘ WE MNIE. DRUGĄ RĘKĄ ZACHŁANNIE OBJĘŁA MNIE W PASIE. Przy jej wzroście i szczupłej sylwetce trudno się dziwić, że była supermodelką. Wolałem kobiety, które są trochę przy kości. Takie, co to się nie złamają, kiedy przycisnę je do ściany, biorąc mocno i szybko. Ashley była zabawką, ale zaczęła mi już trochę ciążyć. Czas ruszać dalej.

Szliśmy przez zamek w Edynburgu. W bogato urządzonej sali jadalnej właśnie trwało przyjęcie charytatywne. Można by się zastanawiać, jaki jest sens urządzać imprezę na cele charytatywne, wydając równocześnie w tym celu małą fortunę. Sens ten sprowadzał się do wypisywania czeków. Cóż, nie byłem tu ani dla dobroczynności, ani dla Ashley.

Zerknąłem na zegarek. Wszystko zgodnie z planem.

– Zaskoczyło mnie, że się zgodziłeś. Nie znosisz takich uroczystości – wymruczała Ashley, sunąc jednocześnie palcem w dół po moim karku.

Miała rację, ale okazja sama się trafiła.

– Uwielbiam pandy.

– W życiu bym na to nie wpadła. O, szampan. Muszę przypudrować nos. Weź mi kieliszek. – Nie czekając na odpowiedź, odeszła na tych swoich kurewsko wysokich obcasach.

Ignorując zarówno kelnera, jak i alkohol, rozglądałem się w tłumie, aż w końcu dostrzegłem cel – tęgiego faceta o dziwnej, nieco fioletoawej cerze. Według mnie jego żona powinna zwyczajnie poczekać, by natura zrobiła swoje. Gość wyglądał, jakby już jedną nogą stał w grobie. No ale to nie miejsce, bym robił za głos sumienia lub rozsądku. Jeśli mi płacisz, wszelkie pytania są zbędne.

Harold Erskine, adwokat, mąż i ojciec trójki dzieci. A także właściciel błędzących tu i ówdzie oczu i rąk. Na tę chwilę miał ochotę na dziewczynę, około osiemnastoletnią, niemal w wieku jego najstarszej córki. Żona dowiedziała się o jego niewierności i złożyła pozew o rozwód. Harold nie chciał płacić alimentów, więc używał swego zasobnego konta bankowego i znajomości, aby udowodnić, że jego żona jest niezdolna do sprawowania opieki, tak by można było posłać dzieci do szkoły z internatem, która kosztowała mniej niż to, co obecnie musiał łożyć na ich utrzymanie.

Przyjrzałem mu się pod każdym kątem. Był lubieżnym chamelem i lubił pieprzyć się publicznie. Fakt, że gość w tym wieku paprał sobie papiery z nastolatkami, był mi na rękę. Zazwyczaj miałem bardziej pragmatyczne podejście, ale tego musiałem załatwić przy świadku. Tojad, trucizna niemożliwa do wykrycia podczas sekcji zwłok, po dodaniu do whisky, którą regularnie pił przed dymaniem, miała spowodować zatrzymanie akcji serca. Żona chciała go upokorzyć. Kopnięcie w kalendarz z kutasem w dziewczynie dostatecznie młodej, by być jego córką, w trakcie przyjęcia charytatywnego mającego na celu uratowanie pand... Niech mnie szlag, jeśli to nie było upokarzające.

Raz jeszcze zerknąłem na zegarek. Jeśli facet był rutyniarzem – a z tego, co się o nim dowiedziałem, osiągnął na tym polu w zasadzie perfekcję, gdyż co rano jadł śniadanie w tym samym bistro, zawsze parkował w tym samym miejscu przed swoim budynkiem i oddawał ciuchy do chemicznego czyszczenia co

tydzień tego samego cholernego dnia – to zamówi tę whisky właśnie teraz. No i jak trybik w zegarku podszedł do baru. Ruszyłem przez tłum i zjawiłem się tuż obok niego.

– Bry wieczór – powiedziałem.

Spojrzał na mnie – facet niecierpliwie oczekujący bardziej zmysłowej części swojego wieczoru.

– Bry wieczór.

– Pandy – powiedziałem.

– Co takiego?

– Ratujemy pandy. – Powiodłem wzrokiem po sali, obrzucając spojrzeniem pokaz bogactwa; ostentacyjne show, które nie miało kompletnie nic wspólnego z ratowaniem zwierząt, za to wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, z prezentowaniem siebie i swojego statusu.

Zaśmiał się, kiedy zrozumiał, o czym mówię.

– Kolejny pretekst, by pokazać się w nowych ciuchach i zażyć dekadencji.

Barman postawił szklanke na blacie kontuaru. Harold przesunął ku niemu pieniądze i wziął do ręki drinka.

– Miłego wieczoru – dodał z pewną nutą ironii i oddalił się.

Ruszyłem za nim i z wyczuciem trąciłem go w ramię, tak by wylać mu tylko trochę whisky. Jego uwaga skupiła się na spodniach i tworzącej się małej plamce. Wrzuciłem proszek do szklanki.

– Oż cholera, najmocniej przepraszam.

Na twarz wpełzł mu wyraz irytacji. Nawet nie odpowiedział na przeprosiny. Jego cukiereczek czekał. Łyknął całego drinka na raz i postawił pustą szklanke na tacy przechodzącego kelnera. Chwyił dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą. Nie musiałem za nimi iść. Kiedy kipnie w połowie pochedówki, jestem pewien, że krzyki dziewczyny wszystkich o tym powiadomią.

Zacząłem szukać Ashley. Nadal była w damskiej toalecie. Podszedłem do niej.

– Co ty tu robisz? – zapytała, ale zaraz zmrużyła oczy, gdy zrozumiała.

Przekręciłem zamknięcie i przyparłem ją do drzwi. Podciągnąłem sukienkę i znalazłem nagie i mokre wargi sromowe. Jej filuterny uśmiech przeszedł w jęk, kiedy dotknąłem palcem łechtaczki.

– Prezerwatywa jest w kieszeni.

Sięgnęła po nią, jakiś czas pieściła mnie przez materiał spodni, aż wreszcie rozsunała mi rozporek.

– Daj mi się pobawić.

– Nie.

– Chcę cię posmakować.

– Gumka, natychmiast.

Zignorowałem jej dąsy. Gdy tylko założyła mi kondom, podniosłem jej nogę, wbiłem palce w jej udo i nadziałem ją na swojego kutasa. Głowa opadła jej do tyłu. Ashley wydała z siebie jęk na tyle głośny, że musiało go być słychać za drzwiami. Palce dłoni wplotła mi we włosy i próbowała przyciągnąć moje usta do swoich. Ale ja nie całowałem, tylko pieprzyłem. Dochodziła głośno i długo, zanim jeszcze ja się w niej spuściłem. Mrowienie u dołu kręgosłupa, dreszcze wstrząsające moimi nogami – to była biologia... prosta i czysta.

– Któregoś dnia mam zamiar wziąć tego cudownego wielkiego kutasa w usta – zagroziła Ashley, poprawiając się w lustrze.

Nie miałem zamiaru spotykać się z nią ponownie. I nie widziałem sensu, by ją o tym informować. Chwyciłem klamkę i przytrzymałem drzwi, puszczając ją przodem. Krzyk usłyszeliśmy kilka minut po dołączeniu do reszty.



Po podrzuceniu Ashley do domu zadzwoniłem do Gerarda. Był moim informatorem, najlepszym w branży. Mógł znaleźć każdą informację o każdym.

– Zrobione – powiedziałem. – Pieniądze przelane?

– Tak.

– Biorę trochę wolnego.

– Po co?

– Powody osobiste.

– To ty masz jakieś życie osobiste?

Rozłączyłem się.

W drodze do Edynburga przejechałem obok domu mojego ojca – rodzowego majątku McIntyre’ów. Wypalone ruiny straszły na wzgórzu. Byłem właścicielem – ziemi i tego, co zostało z budynku. Czułem radość, patrząc, jak płonie. W konstrukcji było akurat na tyle drewna, żeby się skurwielstwo doszczętnie spaliło. Deweloperzy chcieli kupić posiadłość, ale jeszcze nie byłem gotów, by się jej pozbyć. Miałem perwersyjne poczucie satysfakcji, kiedy widziałem, że miejsce mojego wieloletniego koszmaru jest jedynie kupą kamieni.

Mój dom stał po drugiej stronie małego miasteczka. Nie miałem zbyt dobrej reputacji, a po pożarze stałem się pariasem. Nie za często bywałem w miasteczku, a gdy tam wpadałem, ludzie unikali mnie jak zarazy. Ich zachowaniem kierował strach. Słyszałem szeptane ukradkiem plotki i wieści. W żaden sposób nie starałem się rozwiać ich obaw, częściowo dlatego, że głównie mnie one obchodziły, a częściowo dlatego, że wielu z nich wiedziało, kim stał się mój ojciec, a jednak nie zrobili nic... Choć był wyjątek – moja dawna nauczycielka.

Nie za wiele zostało miejsca w moim szerniałym sercu, a uchroniona odrobina należała właśnie do niej oraz Fenelli i Finnegana. Jej chatka stała na wzgórzach. Nieustannie przebywała na zewnątrz, pracując w ogrodzie. Nie rozumiałem tego. Rośliny umierały, trzeba je było wycinać, sadzić od nowa. Mnóstwo pracy dla czegoś, co było tak ulotne. Zazwyczaj, kiedy zbliżałem się do jej domu, coś wisiało w powietrzu. Przybierało na sile w miarę, jak ulatywało z niej życie. Gdy zapukałem, przywitał mnie znużony Fergus. Nie

przepadał za mną. I miał rację. Mieliśmy ze sobą coś wspólnego – tak samo jak ją kochał, tak mnie nie znosił.

– Jak się miewa?

Do jego oczu napłynęły łzy i popłynęły po policzkach. Nie czułem nic, i to od bardzo dawna, lecz fantomowy, wewnętrzny ból ścisnął mi wnętrzności.

– To już nie potrwa długo.

Takie proste słowa, ale kiedy wypowiada się je razem, nie ma już nic do dodania.

Chatę wypełniał niezdrowy, kwaśnawy zapach. Nawet przy otwartych oknach unosiła się woń śmierci. Pokój Brianny znajdował się na końcu małego korytarza. Jej niegdyś tak sprawne ciało było teraz słabe i wątłe. Kasztanowe włosy całkowicie już zbiały, a zielone oczy, które zawsze skrzyły się życiem, teraz patrzyły apatycznie. Obróciła na poduszce głowę, a kąciki ust uniosła w uśmiechu.

– Brochan.

Usadowiłem się na krześle, gdzie wcześniej zapewne siedział Fergus. Ucałowałem ją mocno w czoło. Skórę miała zimną i przezroczystą niczym papier.

– Nie przyjdzie – powiedziała Brianna.

Miała na myśli swoją siostrzenicę, Norah Calhoun. To dopiero była pizda. Nie znałem jej, ale słyszałem o niej wiele historii. W miasteczku nadal o niej mówiono. Nie lubiano jej równie mocno, jak kochano Briannę. Norah zawsze chciała więcej, niż miała. Łgała i oszukiwała, by osiągnąć to, czego pragnęła. Zraniła też jedyną osobę, która zrezygnowała ze wszystkiego, aby się nią opiekować. Po prostu wyjechała i nigdy nie oglądała się wstecz.

– Ma córkę. Chciałabym ją poznać.

– Zapewne nie jest lepsza od matki.

– To moja krewniaczka... Jedyna, jaka mi pozostała.

Mając takich krewnych, wołałbym być sam.

– Szuka jej mój prawnik, ale nie zostało wiele czasu.

– Nie mów tak – warknąłem. Fantomowy ból stał się silniejszy i powiedziałem to ostrzej, niż zamierzałem.

– Umieram już jakiś czas. Nie mam zamiaru dłużej opierać się śmierci. Pogodziłam się z tym. Jeśli nie dożyję spotkania z siostrzenicą, okaż jej dobroć.

– Wiele rzeczy można mi przypisać, ale dobro nie jest jedną z nich. Niech Fergus się tym zajmie.

– Masz w sobie dobroć... Miłość również. Inaczej nie siedziałbyś tu teraz ze mną.

– Mam względem ciebie dług. Spłacam go.

– Głupie gadanie. Moim ostatnim życzeniem jest, byś okazał dobroć moim krewnym.

– Względem córki Norah? Za wiele ode mnie wymagasz.

– Nie wiń dziecka za grzechy matki. Kto jak kto, ale ze wszystkich ludzi to ty powinienes wiedzieć o tym najlepiej.

Zawsze wiedziała, jak trafić w punkt.

– W porządku. Postaram się być dobry i uprzejmy, póki nie okaże się, że nie jest lepsza od swej matki.

– A zatem mam twoje słowo.

– Nie jest warte zbyt wiele, ale tak, masz je.

Chwyciła moją rękę swoją drobną dłonią.

– Dla mnie jest ono wszystkim.



Poszedłem do domu, żeby, zanim wrócę do Brianny, wziąć prysznic i zmienić ciuchy. W holu natknąłem się na Fenellę.

– Jak ona się miewa?

– Umiera – wyrzuciłem z irytacją, ale zaraz poczułem się z tym źle.

– Przykro mi, Brochanie. Wiem, jak wiele dla ciebie znaczy.

Spojrzała na mnie. Mimo tego, czym się stałem, ona również upierała się, że dostrzega we mnie dobro.

– Ma jeszcze krewniaczkę. Córkę Norah.

Znałem dobrze to spojrzenie. Często widywałem je na twarzy Fenelli, zwykle wtedy, kiedy w uwielbianych telenowelach oglądała podłe uczynki bohaterów. To był wstręt.

– Taa, mam dokładnie te same odczucia. Chciałaby się z nią spotkać, zanim... – Na myśl o moim świecie bez Brianny znów poczułem ten dojmujący fantomowy ból. – Myślę, że lepiej by zrobiła, gdyby nie ruszała gówna, skoro nie śmierdzi.

– To normalne, że chce uładzić swoje sprawy. – Splotła ręce jak do modlitwy. Miała do powiedzenia coś jeszcze. – Nie będę się wydurniać i udawać, że nie wiem, gdzie bywasz i co robisz, bo to obrażałoby i mnie, i ciebie. To twoje życie i musisz je przeżyć po swojemu. Część mnie to rozumie, ale jesteś też kimś więcej. Nie widzisz tego, nie dostrzegasz od bardzo dawna, ale tak właśnie jest.

– Wcale nie.

– Ależ tak, Brochanie. Finnegan i ja zawsze tu będziemy, zawsze będziemy dla ciebie oparciem, ale naprawdę mam nadzieję, że pewnego dnia dostrzeżesz to, że twój ojciec cię nie złamał, a jedynie przygiął do ziemi.

Ich wiara we mnie jest jak miecz obosieczny. Trzymała mnie w ryzach, chroniła przed zbytnim rozkręceniem się, utratą kontroli – i tu właśnie była ta druga strona. Sprawiała, że nie mogłem się ostatecznie pozbyć tego pierdolonego sumienia, które mi wszczepili, tego, którego pochodnię schwyciła Brianna i później podtrzymywała ów ledwo tłący się płomyk.

– A skoro o tym mowa, Finnegan cię szukał.

Nieświadomie zacisnąłem dłonie, ale poszedłem, by go znaleźć. Choć w zasadzie wiedziałem, gdzie jest.





Pokój był ciemny, a powietrze wypełniał zapach śmierci. Brianna oddychała z trudem. Fergus siedział przy niej, trzymając jej dłoń.

– Kochanie, chciałabym przez chwilę porozmawiać z Brochanem na osobności.

– Oczywiście.

Ucałował ją w czoło. Rzucił mi spojrzenie, które miało mi wybić z głowy denerwowanie jej, po czym powoli wyszedł.

– Chodź, usiądź – powiedziała. Usadowiłem się na krześle, a ona sięgnęła po moją dłoń. – Nie rozumie, dlaczego to robisz. – Wiedziałem o tym. Nic mnie to nie obchodziło. – Ja to rozumiem. Nie mogę powiedzieć, że pochwalam, ale rozumiem. W tym, co robisz, jest pewien rodzaj sprawiedliwości.

– Nie doszukuję się w tym ani dobra, ani zła.

– A ja myślę, że tak. Tyle że o tym nie wiesz.

– Robienie ze mnie na siłę dobrego człowieka nic tu nie zmienia.

– Właśnie, tu jest problem. Myślisz, że nie jesteś dobry, ale ja wiem swoje.

Nigdy nie rozumiałem jej niezachwianej wiary we mnie. Nie zrobiłem niczego, co by ją usprawiedliwiło. Nic, co by mogło zyskać szacunek kobiety o tak dobrym sercu.

– Nie jestem dobry.

– Ależ jesteś, Brochanie. Nikt o złym sercu nie siedziałby tu z umierającą staruszką. Zły człowiek nie czułby z tego powodu smutku. Nie byłam w stanie cię o tym przekonać, tak samo Fenella i Finnegan, ale moim życzeniem jest, abyś spotkał tę jedną osobę, której się to uda. Chciałabym być przy tym, kiedy ktoś przebije się przez tę twardą skorupę samym tylko zrozumieniem. Upadniesz, Brochanie, i mam nadzieję, że sam sobie na to pozwolisz.

Moje oczy zapłonęły.

– Kocham cię. Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale ja chcę ci to powiedzieć. Jesteś dla mnie jak syn. Chciałabym zrobić dla ciebie więcej, powstrzymać czynioną ci krzywdę, zanim to wszystko się wydarzyło.

– Zrobiłaś dość.

Po moim policzku spłynęła łza. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz płakałem.

– Odnajdź szczęście, Brochanie. Życie jest za krótkie, by być nienawiścią.

Mocno trzymałem jej dłoń i nagle znów byłem dzieciakiem – gotowym stawić czoła własnemu potworowi, by uratować swojego bohatera. Poczulem uścisk w piersi.

– Ja też cię kocham – powiedziałem.

W jej oczach zajaśniał blask, po czym wypełniły się łzami.

– Wiem, ale uwielbiam, gdy to mówisz.

Jej twarzy wykrzywił grymas bólu, a oddech stał się jeszcze cichszy.

– Mógłbyś poprosić Fergususa?

– Tak.

– Jeszcze się zobaczymy.

Teraz to do moich oczu napłynęły łzy.

– Obiecuj – poprosiłem łamiącym się szeptem.

– Obiecuję.

Wstałem i ucałowałem jej głowę. Usta ledwo chciały mnie słuchać, kiedy cicho wypowiedziałem słowa pożegnania. Nasze oczy się spotkały, a ona się uśmiechnęła. Zaraz potem wyszedłem, w przelocie żegnając Fergususa.

Dwie godziny później Brianna Calhoun, mój zbawca, moje sumienie i mój przyjaciel, nie żyła.



Byłem pijany. Nigdy nie dopuszczałem do tego, żeby się spić do nieprzytomności, co w sumie zawdzięczałem ojcu, ale wydawało mi się, że ten pieprzony ból, którego za cholere nie chciałem czuć, zaraz mnie udusi. Odeszła. Wszystko trwało niemal miesiąc – patrzeć dzień po dniu, jak uchodzi z niej życie. Nawet

twardy niczym skała Fergus płakał. Łkał przy jej łóżku, gdy wydała z siebie ostatni oddech. Po pogrzebie prosto z cmentarza pojechałem do Edynburga. Nie miałem ochoty się uzewnętrzniać w naszym miasteczku. Edynburg zapewniał anonimowość.

– Brochan!

Wypuściłem z sykiem powietrze, kiedy na stołku obok mnie usiadła Ashley, biodrem praktycznie pakując mi się na nogę. Nie zauważyła, w jakim jestem stanie. Ta kobieta była wręcz dziecinnie egocentryczna.

– Od miesiąca się nie odzywasz. Co jest?

– Trochę spraw. – Nie miałem ochoty z nią o tym wszystkim rozmawiać.

– Spiłeś się? – Gwałtownie obróciła głowę w moim kierunku. – Tak! Jak nic jesteś zrobiony. To może być zabawne.

Zaskoczenie zmieniło się w zainteresowanie, gdy kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu. Jej dłoń wylądowała na moim kroku, pocierała mojego kutasa. Nie byłem eunuchem, stwardniał mi.

– Może powinniśmy sobie gdzieś pójść i się tym zająć? – Nachyliła się bardziej. – Pozwól mi obciągnąć – wyszeptła. – Podobno jestem w tym całkiem dobra.

Nie wątpiłem w to. Między innymi dlatego nigdy nie pozwoliłem jej, żeby zrobiła mi laskę. Na pewno byłoby mi dobrze. Z drugiej strony jednak powód stanowiło to, że przy robieniu loda dochodziło do pewnej intymności, momentu, kiedy traciło się kontrolę i oddawało się ją osobie klęczącej przed tobą. Za cholerę nie miałem zamiaru jej na taką kontrolę pozwolić.

– Odpuszczę sobie.

W jej oczach zapłonął ogień. Chuja mnie to obchodziło.

– Spotykasz się z kimś innym?

Sugerowanie, że byliśmy razem, porządnie mnie wkurzyło.

– Nawet z tobą się nie spotykam. Pieprzymy się.

– Pieprzenie? Tym jestem dla ciebie? – Teraz to ona się zapieśniła.

– Jasne. I nie bądź taka oburzona. Przecież nadziejasz się nie tylko na mojego kutasa, więc odpuść sobie ten moralizatorski ton.

– Ale tak by było, gdybyś tylko mnie do siebie dopuścił.

I znowu to samo. Nie chciała dopuścić mnie do siebie bardziej niż ja jej. Chciała mnie wodzić za fiuta, mieszkać pod moim dachem i wydawać moje pieniądze. To ja już bym wolał, żeby ktoś mi wbijał kołki w głowę.

Trudno mi się było na czymkolwiek solidnie skupić, ale starałem się patrzeć jej w oczy, gdy powiedziałem:

– Nie jestem zainteresowany. Idź sobie.

– Tak po prostu?

– No raczej nie nosisz pierścionka ode mnie, malaśka.

– Jak śmiesz traktować mnie tak, jakbym była zwykłą dziwką?

– Rozkładasz nogi przed każdym, kto ma kasę. To właśnie definicja dziwki.

Nawet pijany zablokowałem jej dłoń zmierzającą ku mojemu policzkowi.

– Na twoim miejscu bym uważał – ostrzegłem ją.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę myślałam, że przed nami jest jakaś przyszłość.

– Też nie mogę uwierzyć, że tak myślałaś.

Pełna oburzenia scena wyszła jej całkiem autentycznie.

– Będziesz tego żałował – rzuciła na pożegnanie.

Wypadła na zewnątrz, a ja zamówiłem kolejnego drinka. Przynajmniej ból w piersi nieco zelżał.



Mac Donovan stał na podjeździe. Za nim i stojącą u jego boku ładną żonę widać było niewielki majątek ziemski. Dwa psy bawiły się, goniąc jeden drugiego. Nie była to scena, jaką kiedykolwiek spodziewałem się ujrzeć, a już na pewno nie u kogoś tak

bezwzględnego, jak Mac Donovan. Zaparkowałem za jego range roverem, po czym wysiadłem z samochodu. Rozejrzałem się.

– Cóż, Mac, zdajesz się być kimś więcej niż typem mieszkańca penthouse’u.

– Wszyscy potrafimy się zmieniać, Brochanie.

Podchodząc do mnie, wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie wyciągnął jednak ręki, co nie było w jego stylu, za to zamknął mnie w półuścisku. Napiąłem mięśnie. Instynktownie. Wiedział dlaczego, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Dobrze cię widzieć – dodał.

– Ciebie również. Emerytura ci służy.

– W istocie. – Chwycił dłoń żony. – To jest Ava. Avo, oto Brochan McIntyre.

– Miło cię poznać. Mac często o tobie mówi.

– Zapewne nic dobrego – odparłem.

– Och, wręcz przeciwnie.

Psy biegały w kółko, gryząc jeden drugiego.

– Boomer i Champ – przedstawił je Mac. – Półroczne owczarki angielskie.

Ava objęła Maca w pasie, co wyglądało na swobodny gest, a on zrobił to samo. Zadowoleni, spokojni, szczęśliwi.

– Chcemy mieć dzieci. Staramy się o nie – zagadnęła Ava, ale uwagę skupiłem na Macu.

Najbardziej zawzięty gość w branży, a jednak na myśl o dzieciach błyszczały mu oczy.

– Co cię tu sprowadza? – zapytał, zwracając je na mnie.

– Muszę odreagować.

Wiedział, co to znaczy.

Bez mrugnięcia okiem ucałował Avę w głowę.

– Niedługo wrócimy.

– Zacznę gotować obiad. Naprawdę miło cię poznać, Brochanie.

Zaskoczyła mnie, chwytając moją dłoń. Ruszyła ku drzwiom, psy poszły za nią.

– Kurwa mać, najlepsza rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła!

Wierzyłem mu. Odwrócił się do mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

– Co się dzieje?

– Brianna zmarła.

Przez jego twarz przemknęło zrozumienie, ścisnął lekko mój bark.

– O stary... Przykro mi, Brochan.

Poznałem Maca zaraz po spłonięciu majątku mego ojca. Przerwał bijatykę, w której brałem udział. Byłem gotów kogoś zabić, a on jedyne, co robił, to patrzył na mnie rozbawionym wzrokiem. Potem rozmawiał ze mną przez noc. Całą. Powiedział, żebym zadzwonił do niego, jeśli chcę dać ujście furii w nieco bardziej konstruktywny sposób. Tak długo żyłem w bezsilności, na łasce kogoś, kto wykorzystywał moją słabość... Mac pokazał mi sposób, jak odzyskać kontrolę nad swoim życiem, naprawić zło wyrządzone innym. Nie było w tym jednak ani krzty honoru. Po raz pierwszy zaprzedałem duszę, pociągając za spust, ale uczyniłem to z pełną świadomością.

– Teraz, gdy odszedłeś na emeryturę i zaszyłeś się w czymś, co wygląda na życie w idylli, żałujesz czegoś?

Wskazał na drogę, którą właśnie zaczęliśmy jechać. Włożył rękę do kieszeni, patrząc przed siebie, ale jego umysł błędził w przeszłości.

– Zawsze będą tacy, którzy postrzegają świat w czerni i biele, ale życie to wyłącznie różne odcienie szarości. Nie może być jasnych reguł, które natychmiast powiedzą ci, co jest właściwe, a co nie, bo nic nie rysuje się tak wyraziście. Facet zabija kogoś, żeby zabrać mu portfel. To złe, ale dowiadujesz się, że gość stracił pracę, bo jego szef chciał, by robił sprawy po łebkach, a on odmówił. Jego żona jest chora i potrzebowali stabilności, jaką

dawała im jego praca. Facet, któremu zabrał portfel, to ten, który go zwolnił. Czy to sprawia, że postąpił słusznie? Może i nie, ale powoduje, że jego działania stają się bardziej zrozumiałe. – Skierował na mnie wzrok. – Ty sam lepiej niż ktokolwiek inny wiesz, jakie okropności potrafią się dziać za zamkniętymi drzwiami i w ilu przypadkach nie ujrzą nawet światła dziennego. Ludzie zdają sobie z tego sprawę, ale wolą udawać, że nic się nie dzieje. Milczenie może przynieść śmierć. A my wyważamy te pierdolone drzwi. Nie, w ogóle nie mam wyrzutów sumienia. Życie jest takie, jakim go uczynisz. Dla niektórych sposób, w jaki je spędziłem, jest zły, jest grzeszny, ale sumienie mam czyste. I ci – wskazał dookoła siebie – którzy wierzą w karmę, wiedzą, że nie tylko ja tak uważam.

Zawsze potrafił dojrzeć sprawy, które przebijają się spod całego tego gówna. A jednak bezlitosny Donovan ojcem... Dobrze sobie. Byłem jednak ostatnim, który odradzałby mu bzykanie.

– Dzieci?

– Taaa... Ava naprawdę ich chce i nadal jest dostatecznie młoda, żeby je mieć. Co do mnie, starzeję się, ale chciałbym spróbować.

– Ile ty masz? Czterdzieści pięć lat? Nie jesteś znowu taki stary.

– Ty za to masz raptem dziesięć lat więcej. – Poklepał mnie po plecach. – Przyjedziemy akurat na obiad.

– Dzięki, Mac.

Nie miałem na myśli tylko dzisiejszego dnia, lecz podanie mi ręki, kiedy jej naprawdę potrzebowałem. Wiedział o tym.

– Na tym polega rodzina. A właśnie, skoro mowa o rodzinie, będziesz ojcem chrzestnym Boomera i Champa. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Poćwiczysz sobie.

– Ja pierdołę...



## LIZZIE

Galeria była pełna. Kręcili się po niej zainteresowani kupcy, oglądając moje obrazy. Wciąż nie przyzwyczaiałam się do bycia, powiedzmy, celebrytką. Nie stałam się kimś, kogo byście rozpoznali na ulicy, ale podczas takich wydarzeń, gdy ludzie tak stali i zachwycali się moimi dziełami, byłam przytłoczona i zakłopotana. Czarne obramowanie moich prac było swego rodzaju podpisem. Poszukiwałam tego, co większość z nas uważa za brzydkie, gdyż nawet w brzydocie jest piękno. Na przykład takie stare sękate drzewo, martwe i rozkładające się pod wpływem robaków i chorób – jego piękno tkwiło w sposobie wyrastania gałęzi, które sięgały ku słońcu, oraz pochylenia pnia, podtrzymującego ciężar tej niegdyś majestatycznej rośliny. Albo opuszczony budynek, w którym roilo się od szczurów i karaluchów, lecz pozostałości jego dawnej chwały ostały się w ręcznie rzeźbionych kominkach i ozdobnych listwach.

Podeszła do mnie Cait.

– Masz kupca na *Bez spokoju*, ale najpierw chciałby z tobą pogadać.

– Z kim mam pomówić?

– Z tym wysokim ciachem w czarnym garniturze. – Cait nachyliła się do mojego ucha. – Jest zajebisty, Lizzie – dodała.

Moja partnerka właśnie zaczęła mieszkać ze swoim narzeczonym i postawiła sobie zadanie znalezienia mi miłości, z którą mogłabym zrobić to samo. Chodziłam na randki, ale nigdy nie spotkałam kogoś, kogo bym polubiła na tyle, żeby widywać się z nim dłużej niż przez kilka miesięcy, nie mówiąc o przeprowadzeniu się do niego. No ale ona była w skowronkach i chciała, żebym i ja była. Bardzo mi się podobało, że jej zależy, lecz to



oznaczało, że będzie mnie swatać z każdym facetem w wieku od dwudziestu ośmiu do pięćdziesięciu lat.

– Nie mam zamiaru się z nim lizać.

– Twoja strata. – Dotknęła mojego ramienia. – Baw się dobrze.

Wiem, że się denerwujesz, ale nie ma ku temu żadnego powodu. Oni tu wszyscy są dla ciebie.

Wiedziałam o tym, a jednak nerwy skręcały mi wnętrzności.

– Postaram się.

Chwyciła kieliszek szampana z tacy przechodzącego kelnera.

– To pomoże.

Wlałam w gardło całą zawartość, a potem oddałam jej kieliszek.

– No to jazda – mruknęłam.

Cait obserwowała mnie. Znalazła mi obcisłą sukienkę, która podkreślała moją figurę. Nalegała, żeby jej stylistka upiął moje kręcone brązowe włosy w elegancki kok, i pożyczyła mi czarne szpilki od Christiana Louboutina.

– Wyglądasz fantastycznie. Rozłóż go na łopatki.

Podeszłam do mężczyzny stojącego przy obrazie *Bez spokoju*. Widniał na nim cmentarz w trakcie przenoszenia. Głęboko poruszyło mnie to, jak można pozbawiać ludzi miejsca ich ostatniego spoczynku tylko po to, by postawić tam centrum handlowe. Mimo wszystko w tych starych trumnach było piękno, podobnie jak w świadomości, że wszyscy jesteśmy częścią cyklu życia i śmierci.

Czarne oczy zlustrowały mnie na tyle intensywnie, bym poczuła się nieswojo.

– Pani Danton?

– Tak.

– Właśnie doręczyłem pani przesyłkę – powiedział, podając mi żółtą kopertę.



Podreptałam do biura mojego prawnika. Harrison Billows wart był każdego centa, jaki mu płaciłam.

– Moja matka mnie pozywa? Na jakiej niby podstawie?

– Kwestionuje testament.

– Jaki testament?

– Joseph Masters. – Odszukał palcem nazwisko na kawałku papieru. – To on jest adwokatem reprezentującym świętej pamięci Briannę Calhoun.

Gdy usłyszałam panieńskie nazwisko mojej matki, poczułam uścisk w żołądku. Czyżby gdzieś tam był kolejny Calhoun w rodzaju Norah? Oby nie. Zdecydowanie ta jedna to już o jedną za dużo.

– Najwyraźniej Brianna Calhoun to ciotka twojej matki. Zapiisała ci swój majątek.

Nie od razu dotarło do mnie to, co mówił, bo uderzył mnie fakt, że mam jakąś cioteczną babkę. Resztę zrozumiałam dopiero chwilę potem.

– Swój majątek?

– Tak, w Szkocji. Brianna nie wiedziała o twoim istnieniu. Dowiedziała się na krótko przed swoją śmiercią. Prawniki nadal próbują uporządkować jej sprawy.

– Jak to możliwe, że Norah o wszystkim wie, podczas gdy ja nawet nie zostałam o tym powiadomiona?

– Dobre pytanie. Dzwoniłem do Josepha i bardzo chciałby się z tobą spotkać. Jesteś z nim umówiona dzisiaj na piętnastą.

– Skoro mieszkała w Szkocji, to jakim sposobem jej prawnik jest w Nowym Jorku?

– Wykształcenie prawnicze zdobywał w Szkocji, ale zdał egzaminy również tutaj. Jesteś obywatelem Stanów Zjednoczonych, a Brianna mieszkała w Szkocji, więc skorzystanie z usług prawnika praktykującego w obu krajach ułatwia sprawę.

– Mam się czym martwić w temacie tego pozwu?

Billows obruszył się.

– Nie. Jest całkowicie pozbawiony sensu. Joseph zapewnił mnie, że testament jest niepodważalny, nie wspominając już o animozjach między Norah i Brianną.

– Animozjach?

– Niech Joseph cię wprowadzi w temat. Nie martw się, Lizzie. Damy sobie radę z tym pozwem. – Wstał i odprowadził mnie do drzwi. – Wiem, że jej nie znałaś, ale przykro mi z powodu twojej straty, przykro, że nie miałaś szansy jej poznać.

Nie dotarło to do mnie jeszcze w pełni, ale mi też było przykro.

– Dziękuję – powiedziałam.



Biuro prawnika nie wyróżniało się zanadto, ale stare meble i wyciszone ściany, ozdobione akwarelami przedstawiającymi ładne krajobrazy, dodawały mu elegancji. Nie musiałam czekać, od razu pokazano mi drogę do pokoju, gdzie starszawy pan o siwej, dosyć sporej głowie siedział za biurkiem, które żywo przypominało Resolute. Wstał, gdy tylko weszłam.

– Panno Danton, Joseph Masters – przedstawił się. – Dziękuję za przybycie. Proszę... – Wskazał na krzesło ustawione naprzeciw niego. – Przykro mi z powodu sposobu, w jaki dowiaduje się pani o śmierci swojej cioci.

– Mnie również, choć nic, co ma związek z Norah, nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Nie miałam pojęcia, że ktokolwiek z jej rodziny jeszcze żyje.

– Pani matka zerwała wszelkie związki z rodziną, gdy przeprowadziła się do Stanów.

Przeprowadziła się? Do Stanów? O czym on mówi?

– Pan wybaczy... Matka się tu nie urodziła?

– Pani matka urodziła się w Szkocji. Przeprowadziła się do USA i nigdy nie patrzyła wstecz. Jedyną jej rodziną, poza panią, była jej ciotka, Brianna Calhoun.

– Która zmarła.

– Tak, dość niedawno. Na serce. Miała zaledwie sześćdziesiąt osiem lat. Nie wiedziała wcześniej o pani istnieniu. Bardzo jej zależało, abym to pani przekazała. Nie miała żadnego kontaktu z Norah. Mówiąc w pełni otwarcie, wyrzuciła ją ze swego życia. Z powodu sposobu, w jaki odeszła, i niechęci do utrzymywania kontaktu, Brianna nie chciała, by toksyczna osobowość siostrzenicy zatruwała jej życie.

– Mogę jej tylko współczuć.

– Przykro mi, że tak to wygląda.

– Cóż, matki strata. Ciocia Brianna musiała się jednak o mnie w którymś momencie dowiedzieć.

– W ostatnich miesiącach życia starała się spisać swoją ostatnią wolę. Poprosiła mnie, żebym się skontaktował z Norah. Miała nadzieję, że się pogodzą, zanim umrze, a ona zyska spokój. Pani matka nie odpowiedziała na żaden z moich telefonów. To właśnie podczas prób dotarcia do pani matki dowiedziałem się o pani istnieniu. Kiedy powiedziałem o tym Briannie, złamałem jej serce, bo z powodu dumy nigdy pani nie poznała. Czuła obrzydzenie, kiedy dowiedziała się, że pani rodzice w zasadzie panią porzucili. Nie była w stanie wynagrodzić pani tego za życia, więc chciała to zrobić chociaż po śmierci. I to właśnie dlatego tu jesteśmy. Wszystko, co posiadała, nie wyłączając chatki w Szkocji, zostawiła pani.

Otworzyłam usta, ale nie znalazłam żadnej odpowiedzi. Co można powiedzieć na taką wiadomość? Kobieta, której nawet nie znałam, zostawiła mi wszystko, co miała. Czułam się źle na samą myśl o przyjęciu spadku.

– Nie ma nikogo innego?

– Tylko pani matka.

Nie czułam się dobrze na myśl o dziedziczeniu tego majątku, ale żeby położyła na nim łapska moja matka... To dopiero było złe. Szczególnie teraz, kiedy próbowała go zabrać.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Jestem wdzięczna, ale...

– Jest tego niemało.

– Tak, i mam na myśli nie tylko spadek, ale też wiadomość, że miałam rodzinę, a nie udało mi się z nią spotkać.

– Nie musimy zajmować się formalnościami dzisiaj. Może chce pani kilka dni poczekać, żeby to wszystko ogarnąć?

– Jak Norah dowiedziała się, że Brianna zostawiła mi swój majątek?

Wyglądał na nieco wystraszonego, gdy powiedział:

– Nie wiem, ale mam zamiar się dowiedzieć.

– Czy Brianna zostawiłaby majątek Norah?

– Gdyby nie uciekła, tak. Ale na pewno nie po tym, w jakim stanie zostawiła sprawy. Owszem, Brianna szukała pojednania, ale nie była też jakąś ofiarą losu. Pieniądze miały zostać przekazane szkole, w której uczyła, a jej domek na rejestr zasobów historycznych.

– Ale Norah dowiedziała się, że wszystko ma przypaść mnie, i wyskoczyła niczym filip z konopi, aby go sobie przywłaszczyć.

– Tak, lecz jej się nie uda.

Miałam nadzieję, że ma rację, ale wiedziałam, co matka potrafi, i nie jest wykluczone, że jednak spróbuje szczęścia. Chciałam zobaczyć Szkocję. W razie gdyby Norah dokonała niemożliwego, chciałam chociaż zobaczyć, skąd brały się moje korzenie.

– Domek w Szkocji...

– Tak, piękny, w małej wiosce zwanej Tulloch Croft.

– Chciałabym zobaczyć, gdzie mieszkała, dowiedzieć się, skąd pochodzę.

Wyciągnął brelok z kluczami i pchnął w moim kierunku.

– A więc dobrze. Potrzebuję jedynie pani podpisów na kilku dokumentach.



– Nie do wiary, Lizzie. Przez dwadzieścia lat miała cię gdzieś, ale kiedy może na coś skorzystać, nagle się pojawia. Co za suka!

Cait i ja jadłyśmy obiad. Zadzwoiłam do niej zaraz po wyjściu od prawnika.

– Mało powiedziane.

– Nie dadzą jej wygrać, prawda? – zapytała Cait.

– Mam taką nadzieję.

– Domek w Szkocji. Brzmi magicznie. Jak ci się wydaje, jaka była ta Brianna?

– Nie żyła dobrze z moją matką i zostawiła mi wszystko, co miała. Komuś, kogo nigdy nie spotkała. Myślę, że mam z nią wiele wspólnego. Moja matka jest okrutna, ale nie pozwolić mi się kontaktować z jedyną rodziną, jaką miałam poza nią, to zdecydowanie najpodlejszy z jej uczynków. Jak bardzo inne byłoby moje życie, gdyby zamiast porzucić mnie w Vermont wysłała mnie do Szkocji... do domu... i rodziny.

– Ale może wtedy nigdy nie zostałąś artystką.

– To prawda.

– Jedziesz tam?

W zasadzie nie było to pytanie. Wiedziała, że pojedę.

– Tak. Nie wiem jeszcze, co właściwie zrobię z tą chatką. Najpewniej wystawię ją na sprzedaż, chociaż to moje dziedzictwo... Zważywszy na to, co pozostawili we mnie moi rodzice, chciałyby zobaczyć, z czego jeszcze jestem ulepiona.

– Ma to sens. No i Szkocja... Pomyśl o inspiracji. Zajmę się tutaj wszystkim. Dopilnuję, żeby nikt ci nie grzebał w narzędziach podczas twojej nieobecności, i ogarnę pocztę.

– Może i rodzice nie byli najlepszym, co mnie w życiu spotkało, ale jeśli chodzi o ciebie, to zdecydowanie wygrałam w totka. Dzięki, Cait. Nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobiła.

– Nigdy nie będziesz w takiej sytuacji, więc nie musisz się tym martwić.